

Ostry finisz **kampanii** • Tajemnice **Maciaka** • Zniknięcie **Anżeliki** • Nakazane **piosenki**
Kryptointeresy **Tymochowicza** • Ludzie i **niedźwiedzie** • Opór przed **poborem**

POLITYKA.PL

POLITYKA



TYGODNIK, nr 19 (3513), 7.05–13.05.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

CZY NOWY PAPIEŻ ZMIENI KOŚCIÓŁ?

Wydanie w sprzedaży do 13.05.2025

ISSN 0032-3500

19>



9 770032 350503

POSZERZAMY HORYZONTY



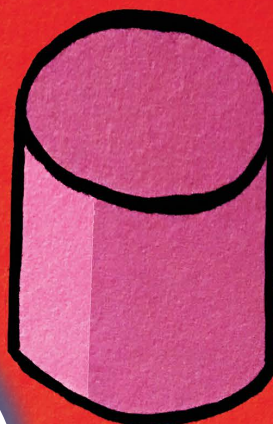
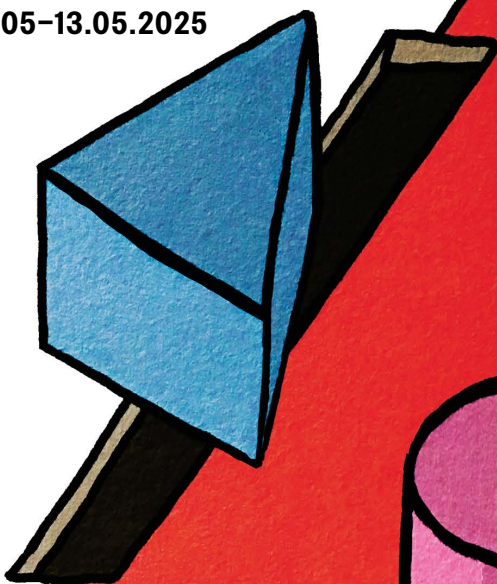
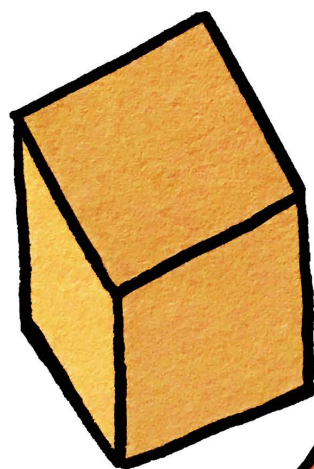
Naukowe miesięczniki **POLITYKI**



**Majowe numery
już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl**



**Prenumerata
cyfrowa
obu tytułów:
projektpulsar.pl**



16, 19

Przedwyborcze układanki

ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

Temat tygodnia

- 10 Adam Szostkiewicz
Konklawe: kto stanie na czele Kościoła?
- Polityka**
- 16 Mariusz Janicki
Kampania na ostatniej prostej: falowanie i spadanie
- 19 Anna Dąbrowska
Kupowane, kopiowane, fałszowane – brutalna prawda o podpisach na listach poparcia kandydatów na prezydenta
- 22 Jakub Halcewicz, Katarzyna Kaczorowska
Sekrety kandydata Maciaka
- 25 Paweł Reszka, Timur Olevisky, Evgenia Tamarchenko
Nasze śledztwo: co się stało z białoruską opozycjonistką Anżeliką Mielnikową
- Społeczeństwo**
- 28 Juliusz Ćwieluch
Kto idzie do wojska
- 32 Agnieszka Sowa
ODCHODZIĆ PO LUDZKU
- Medyczna dyskryminacja seniorów**
- 35 Ewa Siedlecka
Cyba i inni: demencja za kratkami
- 38 Rozmowa z dr hab. Violetą Wróblewską o tym, jak działają tabu we współczesnej Polsce

Rynek

- 41 Marcin Piątek
Piotr Tymochowicz: dlaczego uciekł do Kambodży i kogo stamtąd mamy
- 45 Adam Grzeszak
Co dalej z elektrykami
- Świat**
- 48 Piotr Buras NIEMCY
Rząd Merza: ostatnia tama przed radykałami?
- 51 Mateusz Mazzini POLSKA
Jak nas widzą, jak nas piszą
- 54 Agnieszka Zagner IZRAEL
Być albo nie być Beniamina Netanjahu

Nauka/projektpulsar.pl

- 57 Rozmowa z dr. Bartoszem Pirgą o niedźwiedziach i ich relacjach z ludźmi
- 60 Łukasz Tychoniec
Czym jest ciemna energia i co o niej dziś wiemy
- 64 Agnieszka Krzemińska
Dzieje dzielnych kobiet

Historia

- 66 NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI IM. MARIANA TURSKIEGO: przedstawiamy laureatów

- 69 Adam Krzemiński
Rocznica 9 maja – barometr Kremla

Kultura

- 76 Piotr Sarzyński
Hockney w Paryżu: najważniejsza wystawa tego roku?
- 79 Bartek Chaciński
Dwa języki piosenki
- 82 Aneta Kyzioł
Jadwiga Jankowska-Cieślak: jak grać ciszą i niedosytem
- 85 Rozmowa z Maciejem Drygasem o pracy nad „Pociągami”
- 88 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 94–97 • W bloomersach na ulicę
- Melodie kampanii
 - W prajmie
 - Czym kusi Ziemia Ognista
 - Zapach tureckiej chałki

Stałe rubryki

- 4 Przypisy
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 72 Afisz • 89 Agata Passent
- 90 Lis • 92 Mizerski
- 93 Do i od redakcji
- 98 To jeszcze nie koniec



Nasze konklawe

Jerzy Baczyński

Wybór nowego papieża jest zawsze wielkim globalnym wydarzeniem. Sprzyja temu samo misterium konklawe, mocno już osadzone w popkulturze; fakt, że takie wybory – przy dożywotniej formule pontyfikatu – odbywają się raz na kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt lat; wreszcie, że „mocą Ducha Świętego” wyłaniany jest jednoosobowy, doktrynalnie nieomylny przywódca ponadmiliardowego Kościoła. Wybór zawsze więc wywołuje wielką ciekawość, mnóstwo spekulacji przed i po, dużo sprzecznych nadziei, nawet u ludzi dalekich od religii.

W Polsce, kraju historycznie katolickim, to, kto zostanie następcą św. Piotra, a ściślej, Jana Pawła II, ma znaczenie także polityczne. Bigoteryjna prawica oczekuje „watykańskiego Trumpa” (Biały Dom opublikował jego kabotyński wizerunek w szatach papieskich), „cywile” chcieliby pewnie pontifeksa otwartego, empatycznego, progresywnego społecznie. I raczej, jak zwykle, się zawiodą. Tak jak na Franciszku „papieżu ubogich”, który żadnej głębokiej zmiany w instytucjonalnym Kościele nie dokonał, a dla wielu Polaków symbolem jego pontyfikatu stało się mianowanie na krakowski tron papieża kościelnego hejtera abp. Jędraszewskiego.

W panice po ostatnich „debatach” pojawiają się pomysły podniesienia wymagań wobec kandydatów.

Kto chciałby powiedzieć watykańskiemu konklawe „Szczęść Boże!”, musi mieć poczucie, że ta fraza została właśnie publicznie zszargana przez innego ultrakatolickiego nienawistnika Grzegorza Brauna, który tak zwykł rozpoczynać każde swoje wystąpienie. Również i to, podczas tzw. prezydenckiej debaty w „Super Expressie”, gdzie zaraz po pobożnej inwokacji rozwinął swoje jawnie antysemityczne narracje. Rzecz w tym, że przeciwko tej – niemal podręcznikowej – mowie nienawiści zaprotestowało od razu ze 200 organizacji społecznych, ale bynajmniej nie episkopat, nie kapłani. Jak zawsze, gdy politycy związani z PiS czy Konfederacją szczuli na „syjonistów, ciapatych, niemieckich agentów, LGBT, gender” i inne potwory z prawicowego imaginarium – żadnej reakcji. Czy nowy papież zdołałby

skłonić polski Kościół do realnej obrony chrześcijańskich wartości? W tej kwestii zachowuję głęboką niewiarę.

Coraz liczniejsze publiczne ekscesy kandydata Brauna, a także pojawienie się wśród zarejestrowanych kandydatów na prezydenta otwarcie proputinowskiego Macieja Maciaka (więcej o tej postaci na s. 22) stawiają pytanie o granice debaty publicznej, o to, czy i w jaki sposób można chronić proces demokratyczny przed ekstremistami i obcą agenturą? To nie jest tylko polski problem. Rumuni, którzy właśnie wybierają prezydenta, próbowali (chyba mało skutecznie) ograniczyć rosyjską ingerencję w przebieg kampanii i samych wyborów. W Niemczech Federalny Urząd Ochrony Konstytucji uznał AfD, czyli sondażowo najpopularniejszą dziś partię w kraju, za „organizację ekstremistyczną, która zagraża demokracji”. Chodzi o „dyskryminowanie ludzi na podstawie ich pochodzenia etnicznego” (tam dotyczyło to muzułmańskich migrantów, u nas taki zarzut idealnie pasowałby do antysemityzmu i antyukrainizmu Brauna). Decyzja urzędu może otworzyć drogę do delegalizacji AfD (co mało prawdopodobne – więcej na s. 48), ale na pewno umożliwi legalną inwigilację działaczy tej partii.

To od razu wzbudziło ostre protesty, także administracji Trumpa powołującej się – podobnie jak nasi obrońcy Brauna – na zasadę wolności słowa i prawo do wyrażania rozmaitych poglądów politycznych. Berlin już odpowiedział, że ze względu na pamięć o tragedii, jaką na własny i na inne narody sprowadził niemiecki rasizm i nacjonalizm, rząd ma prawny i moralny obowiązek niedopuszczenia do powrotu takiej ideologii i retoryki.

W Polsce procedury ochrony demokracji i przeciwdziałania politycznemu ekstremizmowi nie są tak stanowcze jak w Niemczech, więc ani Braunowi, ani Maciakowi nie grozi „delegalizacja”. Choć już na pewno (są na to i przepisy Kodeksu karnego, i ustawy o mediach publicznych) można by ich pozbawić prawa do darmowych spotów wyborczych i udziału w nakazanej prawem debacie kandydatów. Tu jednak ujawnia się nasz dramat instytucjonalny: szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji sam określił się mianem „prawicowego taliba”, z kolei Państwowa Komisja Wyborcza jest tworem całkowicie bezzębnym, formalnie i personalnie niezdolnym do sprawowania nadzoru nad przebiegiem kampanii wyborczej (polecam artykuł na s. 19) i podejmowania stosownych interwencji. A próg 100 tys. zebranych (kupionych, sfalszowanych?) podpisów okazuje się łatwy do przeskokowania dla osób w istocie kompromitujących prezydenckie wybory.

W panice po ostatnich „debatach” pojawiają się różne pomysły podniesienia w przyszłości formalnych wymagań wobec kandydatów, z czego najprostsze wydaje się zbieranie podpisów poparcia poprzez państwowy profil zaufany mObywatel. Ale widać wyraźnie (także po perypetiach z rozliczaniem kampanii wyborczej PiS), jak bardzo sama PKW i procedury wyborcze wymagają reformy, doprecyzowania. Nowy prezydent powinien zwołać w tej sprawie ponadpartijne konklawe. A na to, kto będzie prezydentem i pomoże lub zaszkodzi polskiej demokracji, akurat mamy wpływ. Tu wszyscy jesteśmy kardynałami.

PROGRAM
LOJALNOŚCIOWY

Royal
Albatros

3%

zniżki na każdy
kolejny wyjazd

Albatrostravel

Szkockie lato w kratkę

Wichrowe wzgórza, bezkresne wrzosowiska i najlepsza whisky to wizytówka Szkocji – kraju golfu, potwora z Loch Ness i wojowników w krzasiastych spódnicach.

Poznaj magiczną, dumną i tajemniczą Szkocję – kraj wolności, odrębnej historii i tradycji. Odwiedzimy Loch Ness, poznamy losy szkockich klanów i bohaterów, zwiedzimy uniwersytet w St Andrews oraz najstarsze pole golfowe. Zobaczymy epickie krajobrazy Wyspy Skye i parków narodowych, odkryjemy tajniki produkcji whisky w Speyside. Zwiedzimy zamki, średniowieczne miasteczka i spędzimy dwa dni w Edynburgu – stolicy Szkocji i kolebce powieści detektywistycznej.

8 dni
Wylot z Warszawy
03/07 2025

8.998,-



Japonia i Korea Południowa – azjatyckie tygrysy

Wspaniała podróż do Seulu, Kioto oraz Tokio, gdzie nowoczesność, tradycja, piękna przyroda i urokliwe świątynie tworzą niepowtarzalną mieszankę kulturową.



16 dni | Wylot z Warszawy 08/11 2025 | 23.998,-



OCENA NASZYCH KLIENTÓW
4,6/5
OCENA NASZYCH KLIENTÓW

Safari w Republice Południowej Afryki

Oderwij się od codzienności i wyrusz w podróż do zupełnie innego świata na spotkanie z dziką naturą i Wielką Piątką Afryki w Parku Krugera.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Przyjazd do Johannesburga. Przejazd do Pretorii i krótkie zwiedzanie stolicy RPA. Przyjazd do Zebra Nature Reserve. Odpoczynek i spacer po okolicy. Dz. 3 Wycieczka do kopalni diamentów w Cullinan, gdzie wydobyto największy diament na świecie. Dz. 4 Przejazd malowniczą trasą Panorama Route i Blyde River Canyon. Dz. 5 Safari w Parku Narodowym Krugera i tradycyjna kolacja „boma braai”. Dz. 6 Safari w Parku Narodowym Krugera. Dz. 7 Park Krugera – Johannesburg. Podróż powrotna. Dz. 8 Przyjazd do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 14/10, 14/11 2025, 24/01, 14/02 2026 od 9.298,-

albatros.pl

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: PL17

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

Jak ochronić lekarzy

Kiedy w styczniu w Siedlcach ratownik medyczny zginął dźgnięty nożem przez pijanego pacjenta, w mediach zawrzało; politycy prześcigali się w kondolencjach, a Ministerstwo Zdrowia obiecywało błyskawiczne zmiany. Kamizelki nożoodporne dla ratowników, szkolenia z samoobrony, kampania społeczna – to mogło brzmieć jak jakiś plan.

Minęły trzy miesiące i znów doszło do tragedii. W Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie z ręki nożownika zginął lekarz – Tomasz Solecki, ceniony ortopeda. Znów rozgorzała dyskusja, jak chronić personel medyczny przed rosnącą agresją pacjentów; każdy następny dzień przynosi kolejne doniesienia o atakach na medyków. Ale kamizelki ochronnych do tej pory w stacjach pogotowia nie ma (odnaleźliśmy je w projekcie zarządzenia prezesa NFZ, nowelizującego wyposażenie karet). Kampania społeczna resortu zdrowia ograniczyła się zaś do kilku postów w social mediach. Szpitale stanęły natomiast przed pytaniem: jak się chronić, nie zamieniając się w fortece?

Prof. Jarosław J. Fedorowski, prezes Polskiej Federacji Szpitali, nie owija w bawełnę: – *W większości szpitali nie ma żadnej kontroli nad tym, kto wchodzi. W urzędach są skanery, w stacjach telewizyjnych też, a u nas? Wolnoamerykanka. Proponuje bramki i technologię*



szybkiego skanowania, która nie zirytuje odwiedzających: – *Ale przestępców może odstraszyć. Nie ma idealnego rozwiązania, coś jednak trzeba zrobić* – dodaje. W USA, gdzie pracował, po strzelaninie w nowojorskim szpitalu wprowadzono uzbrojoną policję i bramki. – *Szpital to nie warownia, ale też nie dworzec* – podkreśla.

Szpitale potrzebują więc lepszych systemów bezpieczeństwa: monitoringu, przycisków alarmowych, szkoleń z radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych. Jed-

nak przekształcanie ich w klatki nie jest rozwiązaniem – potrzebujemy realnych, prewencyjnych kar dla napastników; sprawy nie mogą dalej być umarzane z powodu „niskiej szkodliwości społecznej”.

Po zabójstwie w Siedlcach ministra zdrowia zapowiedziała wytyczne dla prokuratorów i sędziów, by z większą surowością traktowali napaści na personel medyczny – wtórował jej minister sprawiedliwości. Oby tym razem za obietnicami poszły też konkretne czyny. Klasa polityczna nie może też dalej przymykać oczu na zachowania takich osób jak Grzegorz Braun. Kiedy ktoś w agresywny sposób podważa autorytet lekarza, daje przyzwolenie na przemoc. To nie przypadek, że ataki na medyków nasiliły się w czasach, gdy część polityków gloryfikuje bunt przeciwko „systemowi” – także temu, który ratuje nam życie. (PAW)

Sondaże na ostatniej prostej

W kampanii prezydenckiej dzieje się coraz więcej, a kwiecień – miesiąc debat – przyniósł ruch w sondażach. Średnie notowania Rafała Trzaskowskiego (wyliczane przez Politykę Insight) od kwietnia spadły o 2 pkt proc. – do 33,4 proc. Kandydat KO złapał zadyszkę przez wymyśloną przez własnych sztabowców debatę w Końskich; wydarzenie to pozwoliło mocniej zaistnieć Szymonowi Hołowni i Magdalenie Biejat, a pisowskim wyborcom pokazał się sprawniejszy niż zwykle **Karol Nawrocki**.

Kandydat PiS w ciągu miesiąca urosł z 22 do 24 proc., zostawiając daleko w tyle Sławomira Mentzena. Lider Konfederacji ma kampanię intensywną, ale i monotonną, nie najlepiej też odnajduje się w formacie telewizyjnych debat. Średnie poparcie Mentzena na początku maja to 15,1 proc., o 4 pkt mniej niż przed miesiącem.

Czwarty jest Hołownia, na którego chce głosować 6,8 proc. Polaków – o 1,2 pkt więcej niż miesiąc temu. Kolejne miejsca to już spore niewiadome; porównywalne poparcie mają kandydaci lewicowi: Adrian Zandberg

(3,8 proc.), Magdalena Biejat (3,5 proc.) oraz skrajnie prawicowy Grzegorz Braun (2,9 proc.). Za nimi przewijają się jeszcze w sondażach z 1–2 proc. poparcia Krzysztof Stanowski, Joanna Senyszyn i Marek Jakubiak. Najmniej fanów mają Artur Bartoszewicz, Maciej Maciak i Marek Woch.

Tyle sondażowa średnia z przełomu kwietnia i maja. Uwaga – nie jest już zapewne aktualna; w świeższych sondażach, z końca miesiąca, przewaga Trzaskowskiego nad Nawrockim była mniejsza, a politycy PiS zaczęli nawet nieśmiało prognozować, że trend się utrzyma i ich faworyt zajmie pierwsze miejsce w pierwszej turze. To jednak wciąż mało prawdopodobny scenariusz, nawet ostatnie kwietniowe sondaże pokazywały znaczącą przewagę kandydata KO, trend wzrostowy Nawrockiego zaś w nich wyhamowywał. Jeśli spojrzymy na rynek

predykcyjny Polymarket – gdzie użytkownicy obstawiają wynik wyborów – to na początku maja szanse Trzaskowskiego na końcowy triumf sięgały 83 proc.

Na finiszu kampanii wszystko się jednak liczy podwójnie, zainteresowanie polityką rośnie, ważnych wydarzeń przybywa. Nawrocki niespodziewanie dostał mocne wsparcie od Andrzeja Dudy, a parę dni później został przyjęty przez Donalda Trumpa; to miało mu przydać prezydenckiego formatu. Ale już chwilę później wybuchła afera mieszkaniowa: portal onet ujawnił, że Nawrocki ma dwa mieszkania, choć w debacie telewizyjnej twierdził, że jest właścicielem jednego. Co więcej, drugie mieszkanie przejął od sąsiada – pana Jerzego – w zamian za opiekę nad nim i „wkład finansowy”; mieszkanie zostało wykupione w 2011 r. od gminy za 10 proc. wartości, czyli ok. 12 tys. zł.

Trzaskowski z kolei dobrze wypadł w debacie „Super Expressu”, pierwszej z udziałem wszystkich pretendentów, na której – w odróżnieniu od nominata PiS – reagował na antysemickie wypowiedzi Brauna. I tak już teraz będzie na tej ostatniej prostej; co chwila jakieś wydarzenie będzie przyćmiewało poprzednie, by zostać przykryte przez następne. Aż do ciszy wyborczej. (WBS)



Sport wyborczy

Przemysław Sadura

Socjolog, profesor UW, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej.



Od lat w polskiej polityce nie było bardziej paradoksalnego zjawiska niż nagła popularność debat prezydenckich w trwającej właśnie kampanii. Ponad 6 mln Polaków oglądało debatę trzech telewizji w Końskich. Co drugi włączony telewizor był nastawiony na starcie kandydatów do fotela prezydenckiego. To są wyniki, które można porównywać z największymi wydarzeniami sportowymi, takimi jak finał siatkówki na mistrzostwach olimpijskich. W ciągu ostatnich 12 miesięcy większą widownię zgromadził tylko finał Euro 2024 i dwa pierwsze mecze polskiej reprezentacji. Co więcej, niedużo gorzej wypadły debaty TV Republika (1,9 i 2,2 mln widzów) oraz „Super Expressu” (3,3 mln). Poza imprezami sportowymi taką oglądalność mają tylko duże wydarzenia typu pogrzeby papieskie czy śluby królewskie. Np. transmitowany przez sześć telewizji pogrzeb papieża Franciszka miał średnią widownię na poziomie 4 mln – ale gdzie mu tam do widowni pogrzebów Jana Pawła II czy pary prezydenckiej.

Jeśli chodzi o pozasportowe hity telewizyjne, to wygląda to trochę tak, jakby oglądalność była funkcją (nie)prawdopodobieństwa wydarzenia. Pogrzeb papieża można ostatnio zobaczyć średnio raz na 20 lat. Prezydent w naszym kraju ginie raz, może dwa razy na stulecie, ale żeby od razu para prezydencka, to ewenement. Pogrzeb papieża Polaka zdarza się zaś raz na milenium lub rzadziej. Więc mamy

kolejny paradoks. Wybory prezydenckie to przecież impreza cykliczna. Są co pięć lat. Co więcej, debaty organizuje się teraz co kilka dni. A jednak ciągnie do nich i uczestników, i widzów, chociaż i jednym, i drugim nie zawsze one służą.

Rafałowi Trzaskowskiemu z pewnością nie posłużyła „organizacja” debaty w Końskich. Zaliczył po niej wyraźną zniżkę notowań (wg Ipsos nawet 8 pkt proc.). Najwyraźniej

ma pecha do tego miasta: pięć lat temu nie przyjechał i przegrał wybory; teraz przyjechał i też przegrał – na szczęście tylko debatę. Jeszcze gorzej ma Sławomir Mentzen: nie przyjechał do Końskich i stracił; poszedł do Republiki i było jeszcze gorzej. Odwrotnie do Trzaskowskiego wykańcza go każda debata układana przez kogoś innego, a służą mu tylko te, które sam aranżuje.

Najdziwniejsze jednak, że debaty przyciągają widzów. Byłoby to jakoś zrozumiałe, gdybyśmy notowali wysoką deklarowaną frekwencję. Rekordową albo przynajmniej taką w zakresie między 64,5 proc., które prawie udało się osiągnąć w poprzednich wyborach prezydenckich, a niemal 75 proc. z wyborów parlamentarnych w 2023 r. Jednak nic z tych rzeczy. W ostatnim sondażu IBRIS dla POLITYKI tylko 43,6 proc. Polaków deklarowało, że wzięłoby udział w wyborach prezydenckich, gdyby odbywały się w najbliższą niedzielę, a 14,6 proc. – że „raczej” wzięłoby udział. Z doświadczenia badawczego wynika więc, że w tych wyborach możemy mieć raczej rekordową historyczną absencję.

Okazuje się zatem, że nie pokochaliśmy polityki. My pokochaliśmy ją oglądać – niczym jakieś zapasy w błocie. Angażuje niektóre zmysły jak wzrok czy słuch, ale nie rozpala serc i nie rozgrzewa narażdu ruchu. Bez tego zaś trudno dotrzeć do urny.

„Dojrzewanie” po polsku

Szesnastoletnia Maja z Mławy została zabita ze szczególnym okrucieństwem. W roli kata wystąpił jej kolega Bartosz G. Mieszkający dwie ulice dalej posiadać czerwonego paska na świadectwie, chłopak z zamożnego, wydolnego domu. Trochę jak w „Dojrzewaniu”. Przesłanie jednego z najgłośniejszych seriali ostatnich lat jest właśnie o tym, że to mogło być dziecko każdego z nas – w roli mordercy (choć, rzecz jasna, również w roli ofiary).

Ale choć filmowa historia mocno rezonowała, wywołując długie dyskusje i tysiące komentarzy, prawdziwa historia śmierci dziewczynki pociągnęła za sobą głównie fale hejtu. Tuż po tym, jak przy torach kolejowych w Mławie znaleziono skatowane, przypalone i polewane kwasem ciało, w komentarzach zapanował antyimigrancki ton. Morderca został ujęty w Grecji? Czyli wszystko wiadomo. Winni śmierci polskiej dziewczynki są ci, którzy wpuszczają obcych... Gdy powoli

do opinii publicznej docierało, że to jednak Polak, wielbiciel skrajnej prawicy, a w Grecji znalazł się po prostu na wycieczce szkolnej, ton się zmienił. Pojawiały się komentarze, że mimo 16 lat Maja wyglądała na starszą – jakby to było jej winą – że takie dziewczyny zmieniają partnerów i doprowadzają młodych chłopców do rozpacz.



Odkryto, że w przeszłości chłopak sam był ofiarą hejtu – profil wyśmiewający go założyły przed laty jego koleżanki, wówczas 12-letnie. Hejt poszybował w ich stronę. Założycielka strony została szybko wysłędzona. Próbowwała tłumaczyć, że to Bartosz G. prześladował ją i koleżanki, a one chciały

jedynie odplacić pięknym za nadobne. Poczuli się zaszczuci.

Kolejni komentatorzy spod znaku „dziewczyny winnej samej sobie” powiedzieli opowieść, że to Maja nękała Bartosza, że to ona była hejterką. A gdy w końcu wyciekło do sieci również i to, że w przeszłości padła już ofiarą pobicia ze strony Bartosza, część komentujących brnęła w hejt jeszcze dalej – że skoro znała go od tej strony, to znać, że sama wpakowała się w kłopoty.

Obrońcy Mai odpowiedzieli atakiem na matkę Bartosza, która wcześniej publikowała w internecie niezyciwe, krzywdzące dla Mai komentarze. Na stronie jej firmy pojawiły się setki komentarzy, także z życzeniami śmierci. Wciąż nie jest jasne, kto pomógł Bartoszewi przenieść ciało i kto wyrzucił telefon dziewczyny w miejscu raz przeszukanym przez policję, gdy chłopak był już w Grecji.

Tamtego wieczora Maja powiedziała takie, że wychodzi na 20 minut, ale jeśli od razu pokłóci się z Bartkiem, to najwyżej na pięć. Nie żyje, została skatowana. W internecie katuje się dalej. (MB)

Pierwszy kompromis



Donald Trump i Wołodymyr Zełenski spotkali się 26 kwietnia w Watykanie na pogrzebie papieża Franciszka

Kijów się nie poddał, ale nie zatriumfował. Uzyskał więcej Ameryki w Ukrainie, choć nie poprzez bezpośrednie gwarancje bezpieczeństwa (mimo że Biały Dom tak to widzi). Trochę jak obecny status wojny z Rosją, negocjacyjne starcie z Ameryką Donalda Trumpa jest kompromisem – kosztownym, lecz nie hańbiącym. Stany Zjednoczone i Ukraina zawiązały partnerstwo gospodarcze na lata, co daje

nadzieję na ochronę interesów USA. Status Kijowa został wzmocniony wobec Waszyngtonu, w porównaniu z wyjściowymi propozycjami wysłanników Trumpa. Fundusz na rzecz odbudowy Ukrainy ma bardziej wspierać jej cele, niż być skarbnką amerykańskich oligarchów. W dodatku uwzględni – i ma wymagać – utrzymanie amerykańskiej pomocy wojskowej, tyle że odpłatnej. Jednak oczywiście wszystko zależy od tego, jaki pokój (i kiedy) umożliwi bezpieczny dostęp do zasobów naturalnych Ukrainy, wciąż nie w pełni zbadanych, ale szacowanych wysoko na skali europejskiej i światowej.

Efekty są sprawą przyszłości, dziś najważniejsze dla obu stron jest to, że się udało. Porozumienie było potrzebne Trumpowi, który desperacko chciał jakiegoś rzeczywistego sukcesu na 100 dni w polityce zagranicznej. Skończyć wojny się nie udało, Chiny nie uległy się ceł, Grenlandia ani Kanada się nie poddały. W dodatku amerykańska gospodarka bez optymizmu przyjmuje handlową dyktaturę i balansuje na progu recesji, a z Białego Domu musiał odejść Mike Waltz, bodaj najbardziej

doświadczony człowiek w ekipie do spraw bezpieczeństwa. Może dlatego na ostatniej prostej negocjacji z Ukrainą Amerykanie zrezygnowali z części roszczeń. Porozumienie nie zawiera już rabunkowych klauzul o zyskach dla USA ani nie domaga się spłaty wcześniejszej pomocy, wycenionej wstępnie przez Trumpa na kosmiczne 500 mld dol. Ukraina chciała nie tylko korzystnego dealu, nalegała też na szybki symbol porozumienia, jeśli nie pojednania.

Ukraiński parlament ma ratyfikować umowę o minerałach 8 maja, a więc w 80. rocznicę zwycięstwa aliantów zachodnich nad Trzecią Rzeszą i w przededniu moskiewskiej „parady победы”. Kijów będzie ją oglądać – o ile jej nie zakłóci jakimś spektakularnym atakiem – z tą satysfakcją, że mimo wcześniejszych obaw na trybunie u boku Władimira Putina zapewne nie pojawi się Trump, który zaczął ostatnio zmieniać zdanie o swoim „przyjacielu” z Moskwy i podejrzewa go o grę na zwłokę w kwestii pokoju. To też sukces tych negocjacji.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Powtórka w Sajgonie?

Dziesiątki tysięcy Wietnamczyków w zeszłym tygodniu świętowało **50. rocznicę upadku Sajgonu**.

W uroczystej parady pierwszy raz wzięły też udział jednostki chińskie, laotańskie i kambodżańskie, czyli sojusznicy sprzed pół wieku. 30 kwietnia 1975 r. wojska północnowietnamskie i partyzantka Wietkongu zajęły stolicę Wietnamu Południowego, przemianowaną wkrótce na miasto Ho Chi Minha, aby upamiętnić lidera komunistycznej Północy. Zakończyły w ten sposób 20-letni podział kraju, w trakcie którego wspierana przez ZSRR i Chiny Północ walczyła z Południem, sprzymierzonym z Amerykanami. Upadek Sajgonu, dwa lata po wycofaniu przez USA ostatnich jednostek bojowych, oznaczał koniec konfliktu, w którym zginęło ok. 1 mln Wietnamczyków i prawie 60 tys. Amerykanów.

Dziś to jednak nie Amerykanie są zagrożeniem dla Wietnamu. Wręcz przeciwnie – jeszcze do niedawna byli najbliższymi sojusznikami. Dwa miesiące temu minęło też 30 lat od nawiązania relacji między dawnymi wrogami. Przez kolejne dziesięciolecia amerykańskie firmy, głównie odzieżowe, zainwestowały w Wietnamie miliardy dolarów. W 2023 r. Wietnam podniósł nawet swoje stosunki z USA do poziomu strategicznego partnerstwa, co było



kolejną próbą zrównoważenia pogarszających się relacji z coraz bardziej asertywnymi Chinami. Wietnam, obok Filipin, ma najwięcej problemów z wielkim sąsiadem, który rozpycha się terytorialnie na Morzu Południowochińskim.

Wraz z powrotem Donalda Trumpa do Białego Domu odżyły jednak wietnamskie obawy. Ten w dużym stopniu uzależniony od eksportu kraj został obłożony najwyższymi, 46-procentowymi cłami na wywóz towarów do Stanów Zjednoczonych, które ponadto skasowały pomoc (USAID) dla Hanoi w ramach zadośćuczynienia za wojenne krzywdy (zaminowanie kraju, skutki działania trującego agenta herbicydu orange). Wymusiło to jeszcze bardziej ugodowy ton Wietnamczyków wobec USA. Na zeszłotygodniowej paradzie nie było więc tradycyjnych ataków na Waszyngton, zniknęła charakterystyczna dla poprzednich rocznic propaganda zwycięstwa nad jankesami. Jej miejsce zajęła celebrazja jedności kraju.

To dość karkołomne naginanie pamięci. Wojna z lat 1955–75 nadal stanowi fundament utrzymującego się do dziś komunistycznego reżimu. Jednak geopolityka sprawia, że dawni sojusznicy i wrogowie – Chiny i Ameryka – niejako zamienili się rolami. Czy jednak w razie kryzysu Amerykanie znów nie będą uciekać ostatnim helikopterem z dachu ambasady USA w Sajgonie?

Simion lub Dan

Najważniejsza liczba w Rumunii to 1,9 mln. Z przewagą tylu głosów pierwszą turę wyborów prezydenckich wygrał **George Simion**. Ma 38 lat. Polityczną karierę zaczynał od wypisywania sprejem pod osłoną nocy ultranacjonalistycznych odezw spod rewizjonistycznego znaku Wielkiej Rumunii, w składzie z Mołdawią oraz terenami leżącymi dziś w Ukrainie i Bułgarii. Hasła pojawiały się w całym kraju. Po latach dorobił się własnej partii i drugiego co do wielkości klubu w parlamencie. Jest ideowym bliźniakiem Donalda Trumpa, marzy o „melonizacji” Europy, co stanowi odwołanie do jego politycznej idolki, konserwatywnej premierki Włoch Giorgii Meloni. W wielu punktach bliżej mu do polskiej Konfederacji niż do Prawa i Sprawiedliwości. Nie chce wspierać Ukrainy, Unia Europejska to zło, a NATO – zło na razie konieczne. Czas, by Rumunia była wolnym i szanowanym krajem. Pora remontować system, przepędzić złodziei, na czele z proeuropejskimi partiami tworzącymi koalicję rządową. Nadchodzi czas patriotów i tzw. suwerenistów.

Simiona niesie głębokie i powszechne niezadowolenie Rumunów oraz szalona popularność serwisu TikTok, wręcz stworzonego dla nieskomplikowanego przekazu i teorii spiskowych. To na TikToku swój kapitał zbijał Călin Georgescu, największa gwiazda rumuńskiej polityki ostatnich miesięcy, oskarżany o szemraną kampanię i – przede wszystkim – korzystanie z rosyjskiego wsparcia. Ten akurat został zdyskwalifikowany i kandydować już nie mógł, ale Simion



zapowiada, że jeśli zostanie prezydentem, zatrudni Georgescu, który mógłby zostać np. premierem.

W drugiej turze Simion zmierzy się z Nicușorem Danem, 55-letnim burmistrzem Bukaresztu, matematykiem z doktoratem Sorbony i byłym aktywistą miejskim walczącym o zachowanie terenów zielonych i ratowanie zabytkowej substancji stolicy. Dan stawia sprawę jasno: stawka jest najwyższa, decyduje się bowiem strategiczna przyszłość Rumunii, kluczowe jest utrzymanie pro-zachodniego kursu, mocne osadzenie w Unii, pozostawanie w NATO.

Pierwsza tura miała klasyczną dla Rumunii frekwencję 53 proc., zagłosowało 9,4 mln osób. Głosy oddane na pozostałych kandydatów pójdą w dużej mierze na konto Simiona, Dan powinien liczyć na mobilizację tych, którzy zostali w domach, oraz na werdykt licznej diaspory. Kłopot polega na tym, że charyzma nie pozostaje jego najmocniejszą stroną, a to przede wszystkim w warstwie emocjonalnej rozstrzygnie się cały wyścig. Rumuni ponownie zagłosują 18 maja, w dniu pierwszej tury wyborów prezydenckich w Polsce.

Mark i Anthony

W podręcznikach to zdarzenie będzie określone jako kanadyjski cud nad urną, bezprecedensowe odwrócenie fortuny. Kiedy w grudniu liberalny premier Justin Trudeau, ze skrajnie niskimi notowaniami, rezygnował z urzędu, aby dodatkowo nie pograżać swojej partii przed wyborami, opozycyjni konserwatyści, odwieczny rywal, prowadzili w sondażach różnicą 29 pkt. A stojący na ich czele Pierre Poilievre był traktowany jako murowany szef rządu. Prowadził kampanię po trumpowsku i był do niego porównywany – grzmiał i obiecywał: niższe podatki, deportacje i masekrę w administracji państwowej.

Łatwo było o taką przewagę, Kanadyjczycy byli zmęczeni rosnącymi kosztami utrzymania, ospałą gospodarką, ostrym kryzysem mieszkaniowym i ogólnie trzema kadencjami liberałów; chcieli zmian. Nowym szefem partii po Trudeau i tymczasowym premierem do końca kadencji został **Mark Carney**, debutant w polityce. Technokrata, kosmopolityczny wolnorynkowiec,



bankier z wielkim majątkiem. Po Harvardzie i Oksfordzie oraz karierze na czele Banku Kanady podczas kryzysu 2008 r. i następnie – w czasach brexitu – Banku Anglii. Nie dawano mu wielkich szans.

Teraz się okazało, że to on poprowadzi Kanadę w mocno niepewną przyszłość. Dlaczego co trzeci wyborca nagle zmienił zdanie? W istocie Carney stoczył zwycięski wyborczy pojedynek nie z Poilievrem, ale z Donaldem Trumpem, który w kilka dni prezydentury zdołał podważyć sojusz dwóch bodaj najbardziej powiązanych państw na świecie, wywołał wojnę celną (zawieszoną i wznawianą) i zagroził inkorporacją Kanady jako „51. stanu USA”. W tej sytuacji wewnętrzne porachunki zeszły na dalszy plan, i to Carney deklarujący,



że „będziemy się bronić, będziemy ochraniać, zaczniemy odbudowę”, ostry i pragmatyczny, zaprawiony w kryzysach, wydał się Kanadyjczykom lepszym dowódcą na czas wojny z Trumpem. A recesja za progiem: trzy czwarte kanadyjskiego eksportu, zapewniającego 2 mln miejsc pracy, szło do Stanów Zjednoczonych.

W cieniu Trumpa przebiegały też sobotnie wybory w Australii. W mniej dramatycznych okolicznościach, ale z podobnym scenariuszem i w poczuciu amerykańskiej zdrady. Premier **Anthony Albanese** i dołączą w sondażach Partia Pracy wygrali z faworyzowaną liberalno-narodową opozycją zagorzałego trumpisty Petera Duttona (za koncepcję przejścia Gazy nazwał Trumpa „wielkim myślicielem”). Później się lekko dystansował, ale ostatecznie po 24 latach stracił nawet własny mandat. W analizach porównawczych pojawił się wątek, że może to być trwalszy trend: fala trumpowego populizmu załamuje się pod własnym ciężarem, a fotka z Trumpem bywa pocałunkiem śmierci. Jak jednak można przeczytać powyżej, uwagi te nie dotyczą Rumunii.

Dym we mgle

ADAM SZOSTKIEWICZ

Aby świat usłyszał z Rzymu pełną radości i nadziei frazę „habemus papam”, nowego papieża muszą najpierw wybrać kardynałowie na konklawe. Mianowana przez poprzednich papieży elita wyłania kolejnego lidera kontrolującego moralność i duchowość ponad miliarda katolików.

Zero prywaty. Kardynałowie elektorzy przekonują, że wybierają papieża pod natchnieniem Ducha Świętego i kierują się jedynie dobrem Kościoła. Przed głosowaniem na kolejnych spotkaniach w swoim gronie, zwanych sesjami generalnymi, starają się rozeznaczyć, jaki papież będzie potrzebny Kościołowi.

Filipiński kardynał Pablo Virgilio David ujmując to tak: „Wybór papieża nie ma nic wspólnego z wyborami politycznymi. Konklawe to zbiorowe odosobnienie; nie padają żadne obietnice, nie prowadzi się żadnych kampanii. Kardynałowie się modlą. Nie pytają, kogo chcą wybrać, ale kogo Pan chce ustanowić następcą zmarłego papieża”. Kropka.

Mistyka i rzeczywistość

Ten mistyczny obraz konklawe zderza się z długą i burzliwą historią wyborów papieży. I w dawnych wiekach, i teraz pełno w niej polityki, emocji, ambicji, sporów i intryg. Najnowszą odsłonę tego czysto ludzkiego aspektu konklawe zawiera głośny film fabularny pod tymże tytułem. To fikcja, ale dobrze zakotwiczona w kościelnej i watykańskiej rzeczywistości.

W żadnej ludzkiej instytucji nie można się „odosobnić” od rywalizacji o władzę, wpływy i dobra, prestiż i szczyty, od polityki i ideologii. Ani od chaosu, korupcji, małwersacji, skandali i afer, od nadużyć władzy, przestępstw seksualnych. Także w Kościele. W najlepszym scenariuszu konklawe wybiera papieża, który może temu jakoś zaradzić. W gorszym – papieża niezdolnego lub niechętnego do stawienia czoła takim wyzwaniom, za to do szpiku ortodoksyjnego, który krytykę czy wątpliwości uważa za atak na Kościół.

Że sama modlitwa nie wystarczy na konklawe, świadczą choćby relacje o wyborze Karola Wojtyły. Był już wcześniej zaliczany do *papabile* – mogących być papieżami – ale potrzebował wsparcia. I otrzymał je od zaprzyjaźnionych purpuratów, na czele z Austriakiem kard. Franzem Koenigiem i Amerykaninem o polskich korzeniach kard. Johnem Krole. Metropolita krakowski był w puli, ale nie był faworytem.

Faworytami byli – poniekąd z automatu, bo tak było od wieków – dwaj Włosi, kardynałowie Giovanni Benelli, reformista,

i Giuseppe Siri, konserwatysta niechętny komunistom. W pierwszych głosowaniach żaden nie zdobył wyraźnej przewagi. Trzeba było szukać poza nimi. Pojawiła się szansa na kogoś spoza układu watykańskiego i nie-Włocha. Koenig w kulisach przekonywał do Wojtyły: młody (58 lat), lubiany, w dobrej formie, aktywny uczestnik odnowicielskiego II Soboru Watykańskiego, z kraju za żelazną kurtyną, zaprawiony w walce o prawa Kościoła i katolików w systemie komunistycznym. W ósmej turze głosowania Wojtyła miał zdobyć 99 głosów wśród 108 elektorów.

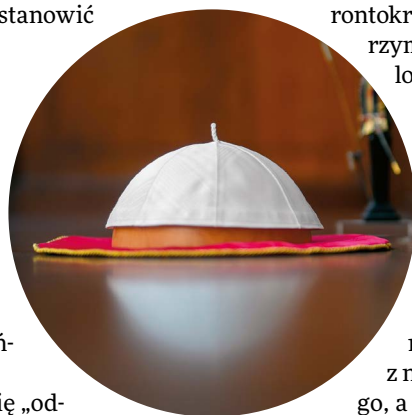
A jak było na konklawe w 2013 r., po sensacyjnej rezygnacji Benedykta XVI? Kardynałowie byli w szoku i rozprawiali o zarządzaniu, złych stronach watykańskiego centralizmu i gerontokracji, braku transparentności w działaniu kurii rzymskiej i płynnego kontaktu Rzymu z Kościołami lokalnymi, o potrzebie dobrze poinformowanego papieża, wspieranego przez kardynałów spoza Rzymu. Bo przecież kierowanie Kościołem to brzemień za ciężkie dla jednego człowieka.

„Inicjatywę przejęli europejscy reformiści – pisze biograf Franciszka Austen Iveleigh w „Proroku” – którzy już w 2005 roku [na konklawe po śmierci Jana Pawła II] stali za Bergogliem. Zgodnie z regułami konklawe nie pytali go, czy zgodzi się kandydować. Jeden z nich powiedział mu tylko, że teraz kolej na niego, a Argentyńczyk odparł: *capisco* [rozumiem]”.

Potem wzięli się do pracy, krążąc po kardynalskich przyjęciach, promując swojego człowieka i tłumacząc, że 76 lat to już nie przeszkoda, skoro papież może składać rezygnację”.

Dynamika konklawe

Zrozumieli, że dynamika konklawe polega na przepływie głosów na tego kandydata, który ma silne poparcie od samego początku. Chcieli mu zapewnić przynajmniej 25 głosów w pierwszym głosowaniu. Działali dyskretnie. Nawet watykańscy nie słyszeli, że ktoś lobbuje na rzecz Bergogli. Światowe media powtarzały za włoskimi, że rywalizacja toczy się między kardynałami pracującymi w Watykanie a włoskimi. Bergoglio do nich nie należał. Ale w ramach dyskusji przed rozpoczęciem głosowań wygłosił on do kardynałów przemówienie, które uruchomiło wspomnianą dynamikę. Mówił zaledwie trzy i pół minuty (limit wynosił pięć minut), ale charyzmatycznie. Po włosku i z notatek. Na prośbę kardynała z Kuby spisał je po hiszpańsku, a ten po jego ►





12 marca 2013 r.,
kardynałowie przed konklawe,
na którym ostatecznie,
już następnego dnia,
wybrano papieża Franciszka